

Marek A. Cichocki: Gliniane skorupy Rzymu

Prawdziwy upadek imperium nie dokonał się po prostu za sprawą najazdu Hunów. To Rzymianie, ze względu na swoje coraz silniejsze związki z barbarzyńcami, stawali się coraz mniej rzymscy: i w formie, i z ducha



fot. Robert Laska dla MaleMena

Prawdziwy upadek imperium nie dokonał się po prostu za sprawą najazdu Hunów. To Rzymianie, ze względu na swoje coraz silniejsze związki z barbarzyńcami, stawali się coraz mniej rzymscy: i w formie, i z ducha - przeczytaj tekst, który ukazał się w tygodniku Rzeczpospolitej Plus Minus

Teodor Parnicki dość wcześnie, w wieku 29 lat, przelał swoją fascynację Rzymem w formę pierwszej swojej powieści, która traktowała o upadku imperium i Aecjuszu Flawiuszu, ostatnim wielkim dowódcy armii zachodniego imperium oraz patrycjuszu rzymskim, nie bez racji chyba nazywanym także ostatnim obrońcą Rzymu. Debiutancką książkę napisał we Lwowie, w mieście, które Aleksander Wat uważał, nie bez racji, za najbardziej włoskie ze wszystkich polskich miast. W pięknym Lwowie miała też miejsce rozmowa, bardzo istotna w wymowie, którą Parnicki przywołał w jednym z wykładów. „Kiedyś miałem rozmowę z profesorem historii, to był profesor Chyliński, i jego asystentem. Raczej prawili przyjemne dla mnie komplementy, jeśli chodzi o tę książkę, ale profesor Chyliński powiedział: »Panie Teodorze, czy pan jest pewien, że Aecjusz mógł jeszcze cokolwiek zbawić czy uratować, jeśli chodzi o ówczesną właśnie sytuację?«. Chodziło mu oczywiście o to, czy Aecjusz miał w ogóle szansę uratować Rzym przed upadkiem, czy jego śmierć z ręki młodego cesarza Walentyniana, który po prostu bał się potęgi wielkiego patrycjusza, przesądziła ostatecznie o losie imperium? I wtedy asystent profesora dopowiedział więcej w pytaniu: »Czy warto było zbawiać?«".

To było pytanie prowokacyjne. Otwierało szereg możliwych, daleko idących konsekwencji. Parnicki od razu śpieszy z wyjaśnieniem dla swoich słuchaczy. Niemiecka historiografia w XIX wieku wywierała wielki wpływ na życie uniwersyteckie na ziemiach polskich. I ten asystent był absolutnie pod przemożnym wpływem modnej niemieckiej nauki historycznej, która uważała, że nie było co zbawiać. Według niej świat rzymski był dotknięty śmiertelną chorobą.

Takie tezy były niejednokrotnie podszyte nowym niemieckim nacjonalizmem, przygotowując podłoże pod nadchodzącą ideologię, w myśl której europejska kultura została stworzona przez ludy germańskie. Mówiąc inaczej, Arminiusz, książę germańskiego plemienia Cherusków, który w 9. roku naszej ery odniósł spektakularne zwycięstwo nad Rzymianami w Lesie Teutoburskim, był zapowiedzią przyszłych nieodwołanych wyroków historii, upadku Rzymu oraz zwycięstwa na jego gruzach nowych germańskich ludów, które zbudowały naszą Europę. Na tej samej podstawie niemieccy historycy, na przykład Otto Steeck, oraz teoretycy kultury, tacy jak Gustav Friedrich Klemm, będą później rozwijać swoje koncepcje rodzenia się i obumierania kultur jako wręcz naturalnego cyklu rozwoju, co w udratyzowanej formie przedstawi Oswald Spengler w głośnej książce „Zmierzch Zachodu”, a na polskim gruncie Marian Zdziechowski.

Pytanie „czy warto było zbawiać” nie było więc niewinne, bo gdyby udzielić na nie odpowiedzi pozytywnej, to sprawy wyglądałyby całkiem inaczej, niż chciała niemiecka nauka. Wówczas okazałoby się, że nieusuwalną cechą europejskiej kultury jest ciągłe, podejmowane od nowa, zbawianie rzymskiego świata.

Porzucone prowincje

Europa powstała ze zderzenia Północy z Południem. Dramatyczny proces zniszczenia antycznego rzymskiego świata był jednocześnie początkiem nowej europejskiej formy. Napływające z Północy ludy barbarzyńców wlały się w starą formę Romanitas jak w wyschnięte naczynie, by w końcu odpowiednio się przekształcić. To było jak

zderzenie atomów, które uruchomiło całą reakcję łańcuchową europejskiej historii. Rozbłysk tamtego wybuchu wciąż możemy obserwować w naszej europejskiej kulturze, nawet jeśli staje się on widoczny coraz słabiej. Czy kiedyś zgaśnie? I co się wtedy z nami stanie?

Skutki reakcji łańcuchowych mogą być, jak uczy fizyka jądrowa, absolutnie niszczycielskie. Nie inaczej było i w tym przypadku. Na drodze zniszczenia przekształcił się cały starożytny, rzymski świat. Na pierwszy rzut oka taki wiek V n.e. wyglądał jak jedno wielkie pobojuwisko albo całkowita degrengolada. Można przyjąć, że proces upadku rzymskiego państwa trwał mniej więcej przez sto lat, powiedzmy, od fatalnych rządów cesarza arianina Walensa, które skończyły się jego zasłużoną śmiercią w 378 roku w bitwie ze zdesperowanymi Wizygotami pod Adrianopolem, do epizodycznych rządów ostatniego cesarza Romulusa Augustulusa przerwanych w 476 roku.

Zastanawiające, czy żyjący wtedy mieszkańcy upadającego imperium mieli w ogóle świadomość procesu rozpadu, w którym uczestniczyli? A może był on za bardzo rozciągnięty w czasie, by móc go precyzyjnie dostrzec, i dlatego większość ludzi żyła zupełnie normalnie? Zakładała rodziny, budowała domy, zdobywała wykształcenie, pięła się po kolejnych szczeblach kariery zawodowej, prowadziła interesy, podróżowała po świecie. Umierało wielkie zachodnie cesarstwo, ale intensywność społecznego, ekonomicznego, intelektualnego, wreszcie religijnego życia bardzo długo przecież utrzymywała się na wysokim poziomie.

Na pewno najszybciej i naocznie o tym, że dawnego Rzymu już nie ma, przekonali się żyjący na wyspie brytyjskiej mieszkańcy tej najdalej wysuniętej na północ prowincji imperium. Właściwie zostali oni porzuceni. Jednak proces nieuchronnej zagłady rzymskiego imperium pod wpływem fali barbarzyńców uruchomiony został już wcześniej, zanim jeszcze Romano-Brytowie pojęli, że są sami na swojej wyspie. Co więcej, ten proces zaczął się od wydarzeń tak odległych od świata śródziemnomorskiego, iż mieszkańcom imperium musiał wydawać się całkowicie niewytłumaczalnym zrzędzeniem opatrności, straszliwą karą, która spadła z nieba. Werdykt przesądzający o losie imperium Rzymian zapadł w odległej części Azji, gdzie przez długie wieki dzicy, waleczni Hunowie zagrażali istnieniu innego cesarstwa, Chińczyków, ulokowanym na niewyobrażalnie odległym z perspektywy Rzymian krańcu azjatyckiego kontynentu.

Wały, umocnienia, wielkie armie nic nie pomagały. Hunowie siali wokół strach i spustoszenie, byli jak szarańcza, której nie sposób zatrzymać. Na temat ich pochodzenia powstawały więc najbardziej fantastyczne legendy. Aż nagle, w pewnym momencie, zupełnie jakby wiatr dziejów gwałtownie zaczął wiać w inną stronę, ci straszni potomkowie czarownic i demonów wybrali sobie inny kierunek ekspansji. Wypierani ze stepów Azji Środkowej przez inne ludy Hunowie zaczęli podbijać stepy czarnomorskie, wypierając stamtąd Słowian, Scytów, Alanów, Ostrogotów i Wizygotów – wszystkie te ludy, uciekając przed nowym, okrutnym i nieznanym zdobywcą, ruszyły w panice na Zachód.

Kryzys humanitarny

To klasyczny przykład reakcji domina: pojawienie się tych wyjątkowo okrutnych barbarzyńców ze Wschodu zapoczątkowało około 370 roku n.e. gigantyczną wędrówkę innych ludów w głąb zachodniego świata, której nikt nie mógł już zatrzymać. Kolejne ludy zamieszkujące pontyjskie stepy były przez Hunów podbijane albo zmuszane do ucieczki, co w sposób gwałtowny i zupełnie niespodziewany gruntownie zmieniło geopolityczną sytuację starego, rzymskiego imperium, a jak się wkrótce okazało, przesądziło o losach śródziemnomorskiego świata w ogóle.

W 377 roku dochodzi do dramatycznych wydarzeń o wielkich historycznych konsekwencjach. Już od dawna, od jakichś stu lat, germański lud Gotów zamieszkiwał tereny po północnej stronie Dunaju, dawnej rzymskiej prowincji – Dacji. Nazywano ich ludźmi lasu. Jeszcze w drugiej połowie III wieku budzili wśród Rzymian przerażenie, kiedy po raz pierwszy wdarli się w granice imperium i zagrozili bezpieczeństwu samej Italii. Zostali jednak wyparci za Dunaj i tam osiedli. Od tamtych czasów sytuacja się zmieniła. Teraz, szczególnie w porównaniu z dzikimi Hunami, ci barbarzyńcy, przede wszystkim ich część zaliczana do Wizygotów osiedlonych w pobliżu granic rzymskich, mogli wydawać się już całkiem łagodni – prowadzili osiadły, rolniczy tryb życia, a szerokie koryto Dunaju w naturalny i bezpieczny sposób odgradzało ich od terenów rzymskiego imperium.

W 377 roku groźni Goci, chociaż już cywilizacyjnie obłaskawieni, a przede wszystkim przez Rzymian dobrze rozpoznani, wręcz zasiedzali za miedzą sąsiedzi, wpadli w ogromny popłoch, uznając, że żadnym sposobem nie uratują się przed napierającymi od północy Hunami. Doszło do exodusu Gotów, których setki tysięcy stłoczyły się na

północnym brzegu Dunaju, chcąc za wszelką cenę przedostać się na jego drugą stronę. Powiedzielibyśmy dzisiejszym językiem, że na północno-zachodniej granicy imperium z powodów zupełnie nieprzewidywanych doszło do regionalnego konfliktu, który doprowadził do humanitarnej katastrofy.

Wodzowie gocy wystąpili do cesarza wschodu Walensa z prośbą, by otworzył dla Gotów granicę imperium i pozwolił im osiedlić się w Tracji, w obrębie imperium, dzięki czemu schroniliby się przed Hunami za szerokim korytem Dunaju. Walens wyobrażał sobie, że asymilacja walecznych Gotów oraz nadanie im ziemi do osiedlenia się pozwoli wykorzystać ich do wzmocnienia rzymskiej armii. Jednak kompletnie im nie ufał, dlatego, wydając zgodę na przesiedlenie w granice imperium, jako warunek postawił ich całkowite rozbrojenie się, zaś synowie znaczniejszych gockich wojowników, jako zakładnicy, mieli zostać wywiezieni w głąb cesarstwa.

Akcja przesiedlenia zdesperowanych Gotów z Dacji przez Dunaj najwyraźniej przekroczyła wyobrażenia Rzymian i ich techniczne zdolności. Przypadek ten był absolutnie bezprecedensowy. Jak napisze później Gibbon: „Nawet najbardziej doświadczony mąż stanu w Europie nigdy jednak nie został wezwany do wydania opinii, czy celowe lub też niebezpieczne jest przyjęcie albo odrzucenie próśb niezliczonych rzesz barbarzyńców, których głód i rozpaczliwa sytuacja zmuszają do starań o osiedlenie się w kraju cywilizowanym”.

W trakcie przeprawy wiele rodzin się potopiło. Słabych, chorych i starców pozostawiono na drugim brzegu na pastwę Hunów. Podjęta przez rzymskich urzędników próba policzenia i zarejestrowania

uchodźców kompletnie się nie powiodła w obliczu panującego chaosu. Cały proces odbierania Gotom uzbrojenia oraz oddzielanie dzieci od ich rodziców wzmogły nastroje buntu. Zresztą często Gotom udawało się przekupić urzędników i w ten sposób zachować przy sobie broń oraz dzieci.

Rzymska polityka osiedlania i integracji przybyszów także zakończyła się całkowitym fiaskiem. Szybko się okazało, że ziemi pod osiedlenie nie ma dużo i że wobec nadciągającej zimy Gotom grozi klęska głodu, a władze cesarstwa nie zaprzatają sobie głowy ich losem. Zdesperowani Goci wznieśli w końcu bunt, zaczęli łupić okoliczne miasta, a kiedy Walens postanowił spacyfikować barbarzyńców, roznieśli cesarskie wojska w bitwie pod Adrianopolem i zabili samego cesarza.

Za sprawą tej klęski przez następnych prawie 30 lat w samym sercu cesarstwa zamieszkiwał wrogi lud Wizygotów, z którym Rzymianie nie potrafili ułożyć sobie stosunków. W końcu w 410 roku pod wodzą Alaryka Wizygoci ruszyli na Italię, po dwóch nieudanych próbach sforsowali mury Rzymu i splądrowali dawną stolicę imperium, potem zajęli Galię, by w końcu osiąść w Akwitanii i na Półwyspie Iberyjskim, gdzie założyli własne królestwo.

To, że Rzymu już nie ma najpóźniej chyba zrozumieli mieszkańcy siedmiu afrykańskich prowincji, mieszkańcy takich wielkich miast, jak Kartagina czy królewska Hippona. O ich losie przesądził przypadek, a raczej pewna nieoczekiwana naturalna anomalia. Zima w 406 roku była wyjątkowo sroga, co doprowadziło do zamarznięcia Renu. Naturalna bariera chroniąca dotąd cesarstwo od północy przestała istnieć i na jego teren wdarli się Wandalowie. Szli na południe, siejąc spustoszenie,

ostatecznie odcięli Brytanię od Rzymu, a po zaledwie trzech latach stali się panami całej Hiszpanii. Tam razem z sarmackimi Alanami, tymi samymi, którzy kilkadziesiąt lat wcześniej uciekali z czarnomorskich stepów przed Hunami, założyli nowe królestwo, państwo Wandalów i Alanów, dziwny sojusz dwóch barbarzyńskich ludów, które najechały stary świat, przychodząc z dwóch przeciwnych kierunków.

Zwątpienie w Pax Romana

W takich to mniej więcej wielkich scenach rozegrał się na przestrzeni dziesięcioleci dramat upadku zachodniego rzymskiego imperium. Na tę katastrofę złożyły się przeróżne czynniki: naturalne anomalie, etniczne przetasowania w dalekich azjatyckich stronach, pochopne, nieprzemyślane decyzje elit politycznych i zwykła niewydolność lub korupcja urzędników. Przede wszystkim jednak owo epokowe wydarzenie, które nazywamy wielką wędrówką ludów, a które dziś ponownie porusza wyobraźnię współczesnych Europejczyków za sprawą biblijnych obrazów ciągnących przez kontynent kolumn muzułmańskiej ludności napływającej do Europy z Bliskiego Wschodu czy Afryki.

Z zalewem ludów barbarzyńskich cesarstwo rzymskie nie potrafiło sobie poradzić. Ale było coś jeszcze, na co uwagę zwrócił w wykładach prowadzonych na warszawskiej polonistyce Parnicki. A problem upadku Rzymu odgrywał w jego literackich zainteresowaniach dużą rolę. Zwłaszcza tam, gdzie pisarz odnosi się do swojej pierwszej powieści o Aecjusz, ostatnim Rzymianinie, sugestia jest taka, że imperium zabiła znacznie poważniejsza choroba – wewnętrzna

barbaryzacja Rzymian. Upadek cesarstwa nie był tylko systemową katastrofą: oto struktura nie wytrzymała przychodzących z zewnątrz wstrząsów.

Nie, sprawa była o wiele poważniejsza, bowiem z powodu swych coraz silniejszych związków z barbarzyńcami Rzymianie stawali się coraz mniej rzymscy i w formie, i z ducha. I o tym właściwie jest przede wszystkim pierwsza powieść Parnickiego, wydana w czasach międzywojennych. Jej tematem jest barbaryzacja Rzymian, która ostatecznie przesądziła o zagładzie ich świata. Trzeba zrozumieć, że wewnętrzny rozpad etycznych zasad świata rzymskiego w wyniku postępującej duchowej barbaryzacji sprawił, iż być może to największe cywilizacyjne osiągnięcie Rzymian, jakim była ich idea porządku, ordo, praktycznie wyrażona w porządku prawnym i ogólnym Pax Romana – porządku pokoju, zostało przez samych Rzymian zaprzepaszczone, zanegowane.

Świat starożytnych był w porównaniu z naszym o wiele okrutniejszy i bardziej bezwzględny. Tym bardziej jednak Pax Romana zmieniał jego okrutny charakter na coś lepszego, cywilizowanego. Pod rządami rzymskiego prawa na wielkiej przestrzeni wokół Mare Nostrum było nieporównywalnie mniej nagłych, gwałtownych śmierci i niewinnych ofiar. Nawet w porównaniu ze światem greckim, którego kulturą zwykliśmy się zachwycać, a gdzie – jak mówi Parnicki – przez stulecia Grecy w imię wolności oraz autonomii zdolni byli wyrzynać siebie nawzajem w najokrutniejszy sposób. Ten rzymski pokój oraz rządy prawa stanowiły więc całkiem inny, lepszy świat.

Świat, który był przeciwieństwem świata barbarzyńskiego, górował nad nim co do istoty. Będąc światem uporządkowanym ku dobru i powszechnemu celowi, pozwalał realizować w praktyce założenia stoickiej, a potem także chrześcijańskiej etyki, dzięki czemu człowiek stawał się czymś więcej niż tylko żalosnym lub drapieżnym zwierzęciem. Świat ten uosabiał – jak kiedyś wyraził to zręcznie polski poeta i podobnie jak Parnicki wielki miłośnik Rzymu Paweł Hertz – rzymski kanon prawny regulujący zasady współżycia różnych ludzkich zbiorowości oraz życia jednostek w ich obrębie. Tworzył widoczną, a jednocześnie ukorzenioną w abstrakcyjnych wartościach, formę publicznych instytucji, praw, porządku społecznego, ekonomicznego, lokalnego, estetycznego wreszcie – ujmującą w kształt najróżniejsze sposoby istnienia, dzięki czemu nadawał im wszystkim postać rozumnej, trwałej, pokojowej całości.

Barbara Tuchman w swoim „Odległym zwierciadle” wyjaśnia, jak dzięki tak sformalizowanemu porządkowi wspartemu na potędze legionów Rzymianie mogli w istocie bez strachu wieść szczęśliwe życie w swych nieufortyfikowanych willach otoczonych otwartymi ogrodami. W istocie w granicach rzymskiego cesarstwa człowiek nie był już człowiekowi wilkiem. Ale przez ostatnie, powiedzmy, sto lat rozpadu zachodniego imperium wilcza natura powróciła w rzymskie dusze. Jest to także moment, kiedy w granicach cesarstwa znów dochodzi do wielu gwałtownych, niewinnych śmierci, a wiara w działanie Pax Romana, w porządek prawa i porządek pokoju zostaje gwałtownie podkopana. Parnicki sugeruje, że wcale nie w pierwszym rządzie za sprawą owych hord dzikich barbarzyńców, ale przez same elity rzymskiej władzy, a raczej przez rozpad ich dusz.

Opisany przez Parnickiego Aecjusz, patrycjusz rzymski, dowódca wojsk, określany często mianem tarczy Rzymu, sam był Rzymianinem o duszy barbarzyńcy. Kiedy po śmierci cesarza Honoriusza w 423 roku wybuchła wojna o tron po nim, Aecjusz staje po stronie uzurpatora Jana i na jego polecenie sprowadza do Italii Hunów. Przez jakiś czas żyje wśród nich, u króla Rugili, gdzie - w naprawdę przejmującym opisie Parnickiego - przechodzi przemianę: jego barbarzyńska dusza rodzi się w ciele Rzymianina. Wraz z królem Hunów bierze udział w najazdach, uczestniczy w grabieżach, mordach, gwałtach, torturach. Im więcej tego, tym bardziej ostatni Rzymianin odnajduje w sobie nieznane dotąd uczucie, coraz mocniej „kocha siebie i swoją olbrzymią żywotną moc”, barbarzyńską, ślepą moc.

Zezwierzęcenie

To uczucie nazwie Aecjusz nową prawdą o życiu, prawdą Hunów, i tymi słowami będzie ową prawdę wszczepiał własnemu synowi: „Całe życie to łowy, nieustanne, bezlitosne łowy. Nie będziesz łowcą, będziesz zwierzyną, zaszczutą, zabita – zawsze czujny, drapieżny, bezlitosny... zawsze zwyciężaj!”. Ten obraz świata łowcy i zwierzyny, świata ciągłych łowów jest dokładnym przeciwieństwem rzymskiego ordo, Pax Romana, gdzie obywatele mogą żyć bezpiecznie w nieufortyfikowanych domostwach, w spokoju uprawiać ogrody, bez strachu przed gwałtowną śmiercią przemierzać proste rzymskie drogi.

Prawda Hunów zwyciężyła prawdę Rzymian, gdyż przeniknęła do ich duszy, obudziła w nich okrutników i uspiła ludzi prawych. Imperium Universum Romanorum coraz bardziej stawało się Imperium

Universum Barbaricum.

Wraz z Pax Romana ginęli ludzie, ale także ginęła ich kultura. W ostatniej scenie powieści Parnickiego fikcyjna postać, Karyzjusz, poeta i przyjaciel Aecjusza, tak tłumaczy mu jego historyczną rolę: „Oto napierają na cesarstwo ze wszystkich stron barbarzyńcy, łupią, niszczą, zdobywają. (...) Bronisz tego wszystkiego co stworzyły wieki, i dziesiątki wieków... bronisz nie tylko pokoju rzymskiego i potęgi a chwały rzymskiego imienia, ale bronisz też Homera, o którym nie wiesz, i posągów etruskich, na które nigdy nie spojrzysz, a za które setki funtów złota płaci konstantynopolski eunuch – bogacz Lauzus (...) Oto póki ty żyjesz, póki rządysz i walczysz, spokojnie mogę tu, na krańcach świata rzymskiego, na ziemi swych ojców kończyć swój przekład Iliady, pewny że nic złego nie spotka mnie ani mojej pracy, póki ty nas bronisz... Ale gdy zabraknie ciebie, Aecjusz, w gruzy runie wszystko... cesarstwo i potęga Rzymu i Pax Romana, a wraz z nimi i ja, i mój Homer, i wszystko co pięknego, mądrego i dobrego stworzyły pod osłoną Romy wieki”.

Zamordowany przez zazdrosnego młodego cesarza Walentyniana Aecjusz nie obronił Rzymu, a jednak te wszystkie piękne, mądre i dobre rzeczy, włącznie z Homerem, nie umarły. Na innym, afrykańskim krańcu rzymskiego świata niewiele lat wcześniej inny przedstawiciel rzymskiej myśli czasów schyłku, historyk Orozjusz, tym razem postać całkiem autentyczna, uczeń św. Augustyna z Hippony, napisze pod wrażeniem wielkich wydarzeń: „Kto wie, może barbarzyńcy mogli przeniknąć do cesarstwa rzymskiego, aby na Wschodzie, jak i na Zachodzie, Kościoły Chrystusa otwarły się szeroko przed Hunami, Wandalami, Swebami i innymi niezliczonymi ludami przyszłych

wierzących? Czy w takim przypadku nie należałoby czcić Miłosierdzia Bożego? Dzięki bowiem naszemu zniszczeniu tak wiele ludów dowiedziało się o prawdzie, z którą inaczej nie mieliby styczności".

Marek A. Cichocki

Tekst ukazał się w tygodniku Rzeczpospolitej Plus Minus